Lwów, 29. Marca. № 37. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Byciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

Z PAMIĘTNIKA

LEGITYMUJĄCEGO SIĘ SZLACHCICA.

(Ciąg dalszy.)

Hornicki był wzrostu średniego, twarzy niegdyś pięknej, dziś już nieco zwiędłej od lat i cierpień. Jakaś miła pogoda, nieprzechodząca w rubaszność, patrzała mu z czoła. Trzymał się prosto, mówił nie wiele, ale przyjemnie, ze swobodą. Czasem gdy się rozgadał Poczciwski i plótł androny, uśmiechał się, cisnął jaki łagodny żarcik i wnetże przepraszał, całując go w czoło. Upłynęła nam godzina na bardzo miłej rozmowie, potem weszła gospodyni domu, kobieta jeszcze czerstwa, form pełnych, rysów otwartych i bardzo ładnych błękitnych oczu. Zaledwiem został jej przedstawionym, gdy dał się słyszeć tętent konia. Dama w ciemnej amazonce, w tyrolskim kapelusiku, na dzielnym gniadym rumaku, zatrzymała się przed ogrodową furtką, lekko skoczyła z siodła i trzepiąc wierzchowca po szyi, rzekła do stojącego tu jakiegoś mężczyzny:

— Panie Żytnicki, to dziecko nie koń. Jak mamę kocham, pan mógłbyś na nim jeździć!

— Ja pani dobrodziko! — zaburkotała wąsata twarz p. Żytnickiego. — Nie takich dosiadaliśmy koni w tysiąc ośmset....

— Wierzę! wierzę! — przerwała śmiejąc się; potem dodała oparłszy swą rączkę na jego ramieniu — Mam do pana prośbę: czyto po rycersku mścić się nad słabem stworzeniem?

— To się na mnie nigdy nie pokaże. jak panią szanuję!

— Powiadano mi, żeś zamęczył swego M y s z k ę. uganiając się po lewadzie za cielątkiem mojej poczciwej Praxedy. i że wziąwszy je do niewoli, trzymasz w fortecy swej dotychczas. Przebacz mój Żytnisiu wspaniałomyślnie słabemu nieprzyjacielowi.

I to rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, wbiegła na balkon. Postrzegłszy Poczciwskiego uśmiechnęła się doń i skłoniła trzpiotowato, ale z wdziękiem. Spojrzawszy na mnie, twarzyczka jej przybrała wyraz ciekawości: przymrużone dotąd oko zajaśniało w szerszym orbicie, zbiegły się koralowe usta, i to cudo, ta rusałeczka. stanęła na chwilkę jak sarna, spłoszona blizkim szmerem. Nie zapomnę tej chwili: byłoto jedno mgnienie, ale obrazek na który spojrzałem, jak dagerotyp skopijował się w pamięci i sercu. Była to brunetka, byłato czarnobrewa; rzekłbyś, kochanka Zaleskiego, którą on opisał w R u s a ł k a c h:

Jakie oczy! jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże;
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica!

Doprawdy: oczy jej były jasne, czarne i duże. Spojrzawszy na nie, nic nie postrzegłeś więcej: ich blask i wyraz pozostawiały w cieniu resztujące rysy oblicza; ale gdy je spuszczała, lub pokazywała w profilu, gdy ten blask magiczny nie działał na widza, podziwiałeś wtedy śliczny ich rysunek, i tę świeżość cery, i ten rumieniec, których wdzięku nie powtórzy ani poeta, ani malarz. Rysy tej twarzyczki były regularne, wszakże nie byłato regularność greckich arcywzorów: nie wyrażały one spokoju ani powagi, lecz budzące się życie. To jeszcze niepełny kwiat róży, to był wpół rozwity pączek. Chwile kiedy z nią mówiłem, nie były mi tyle przyjemne, jak te, kiedy patrzałem na nią, wolny od wpływu tych czarujących oczu. Dziwne mię przy niej niepokoiły myśli. Żałowałem np. iż to spojrzenie, co wystarczyłoby na oświetleuie ciemnej ścieżki niejednego życia, ona je trwoniła na kwiaty, na książkę, na kotka!.... Wyobrażało mi się, iż ją otacza jakiś szczególny promień, jakim się otaczają gwiazdy, i że dopiero od ostatnich jego strzałek zaczyna się nasz świat pospolity; i razem z tem, jakby czułem iż ja, zbrukany powszedniemi żądzami świata, nie byłem godzien ani o moich mówić jej uczuciach, ani wywołać dla siebie z jej serca. Czy tak się zaczyna pierwsza, czysta, święta młodzieńcza miłość? -- na to do dziśdnia nie umiem odpowiedzieć. Ileżto dziwnych myśli wywołałem, marząc o tej dziewczynie! Jeśliby mi, marzyłem czasem, wyznała, że mię kocha: umarłbym na tę jedną myśl, iż kocha mię dlatego, iż nie poznała się na tym przedziele, jaki istnieje między mną, synem świata, a tą wysłanką nieba! Jeślibym miał jej kiedy sam zrobić to wyznanie, to-bym błagał ją jak o łaskę o odmówienie, czując, żem jej nie godzien! Roje takich i tym podobnych myśli latały mi po głowie, kiedym udał się na spoczynek z Poczciwskim. Nie mogąc zasnąć, oparłem głowę na dłoni i myślałem: wtem Poczciwski:

— A ty nie spisz jeszcze?

— Nie spię.

— I mnie coś spać się nie chce. No, cóż jakże ci się podobała panienka?

— A! — westchnąłem trąc czoło; bo i cóż miałem mówić Poczciwskiemu.

— Niczego — dodał on, poziewając szeroko. — Rodziceby i nie drożyli się; żeby tak ktoś zdarzył się z mająteczkiem choć niewielkim, toby wydali.

Na te słowa, odcedzone z największą flegmą, porwałem się jak polany ukropem: gorąco mi się zrobiło, chwyciłem twarz w dłonie i wnetże upadłem na łóżko.

Poczciwski tymczasem patrząc na sufit, ciągnął dalej:

— Boto córki, to towar niebezpieczny! Jakto mówią: do dziesięciu czesz, do pietnastu strzeż, a potem zapłać jeszcze komu, żeby ci ten gnój wywiózł z domu.

— Boże: — krzyknąłem — jakże ten człowiek bluźni!

— A szczo! — rzekł Poczciwski — ot jak będziesz miał sam dzieci, wtedy powiesz, czy mówiłem prawdę.

— Ależto grzech! — krzyknąłem w żalu i gniewie, a łzy mi paliły się w oczach. — To oszczerstwo! to potwarz! to... Panie Poczciwski! czyżto się godzi? gdzie u pana serce? gdzie uczucie? gdzie gust? Tego anioła, ten ideał piękności, tak obojętnie, z takim cynizmem pomieszać z błotem! Czy pan rozumiesz, że ta dziewczyna, to bóstwo! Ostatnie słowo wymówiłem głośno, namiętnie i zerwałem się na nogi. Zapewne nie musiałem się wydać Poczciwskiemu zbyt groźnym, zwłaszcza w bieliznie, gdyż on biorąc taki wybuch oburzenia za żart, za farsę, odcedził znowu z flegmą, która mię dobiła ostatecznie:

— A szczob tebe ha! Ta ty umiesz robić jak na teatrze? Przeszłego roku widziałem w Żytomierzu, jak na komedyi jakiś Gustaw zakochał się w jednej panience, a ona nibyto go zdradziła. Oto panie, jak zaczął wygadywać na nią niestworzone rzeczy! Panny myślą: ot zabije się, ot przepadnie! A te Żytomierskie scyzoryki jak nasłuchają się, więc potem doprawdy tak samo robią przed pannami.

— Wstydź się pan — rzekłem — mówić takie rzeczy! Przywykłeś pan patrzeć na miłość pospolitą, i najpiękniejszy kwiat uczucia pod to samo podciągasz prawidło. Zresztą, mów pan sobie co chcesz, ale nic nie mów o Józi; nie mów, bo dalibóg wyniosę się w ten moment do drugiego pokoju!

— Chi! chi! chi! — zaśmiał się Poczciwski, ale byłto śmiech przymuszony, dający mi poznać iż wachał się: czy co powiedziałem brać za prawdę, czy jeszcze za udanie.

— No, nie będę...— rzekł po chwili — ale możeś ty doprawdy zaszłapał się?

— Oh, panie Poczciwski! — odpowiedziałem westchnąwszy — taki anioł nie dla mnie!

— Czy tak już śpiewasz? — odbąknął ucierając nosa. No, bywajże zdrów kiedy jedziesz! Ot tobie i legitymacya!

— Nie znasz mię pan jeszcze — rzekłem z dumą — kiedy tak sądzisz. Czyż myślisz, że zapominam kto jestem, co mię czekać może? Oh, mam ja jednę tylko wadę: — mam serce, a sierocie ono niepotrzebne!

— Fiu fiu fiu...! — gwizdnął przeciągle Poczciwski! Kudy jechaw, a kudy zajechaw! No proszę, anim się spodziewał, żeś taka turkawka! Haj, haj! jak my tak będziem romansować na każdym noclegu, to co to znas będzie?

— Ale któż panu powiedział, że się kocham?

— Ty sam.

— Cha cha cha! mój drogi panie Poczciwski! Ja ją wielbię, szacuję, bo to anioł, jakiegom jeszcze nie widział w mojem życiu; ale kochać, to wcale rzecz inna.

Poczciwski, którego już zaczęła przerażać moja gwałtowna miłość, uspokoił się i zapytał seryo:

— Dalibóg nie kochasz?

— Nie kocham; niemyślałem nawet o tem!

— Powiedzże i dalibóg.

— Ale sto razy powiem!

— Nie bratku, stara sztuka! bez wykrętów powiedz mi wyraźnie: dalibóg nie kocham, to uwierzę.

Musiałem powtórzyć z dalibogiem to słowo i wyznaję, żem przysięgał z serdecznym uśmiechem. Raz iż śmieszyła mię formalność Poczciwskiego; powtóre, śmiałem się ze słowa: kocham, słowa które u nas służy za zdatkową monetę, już sponiewierane, zużyte, a które przy obecnym stanie moich uczuć straciło nawet dla mnie i to, jakie w słowniku ma znaczenie; i rzecz dziwna! zdało mi się być trzaską leżącą na stole, którąm wziął i cisnął za okno.

Natenczas Poczciwski uspokojony, zażył tabaki; położył się na wznak i założywszy obie dłonie pod głowę, rzekł:

— Z tem jednakże nie żartuj paniczu, bo wplączesz się, ani się postrzeżesz. A ty taka gorączka! Sam teraz powiedz: czyżto nie głupstwo tak interesować się osobą, którą znasz od kilku godzin? I żebyżto jeszcze osobą, a to, żal się Boże, kurczęciem, co zaledwie wczoraj wstało od elementarza! Co to panie młode lata! Michaś dobrze powiada: Młodość bujność, a bujność — głupość!

— Głupstwo, a nie głupość...

— Głupość... tak lepiej...do wiersza; ale mniejsza o to. I zaraz Bóg wie co się wam roi! A to już dawniej chciałem ci wymówić rzecz jednę. Masz wadę, o czembyś nie mówił, zaraz porównywać ziemskie rzeczy z niebieskiemi... To grzech! Widać, że ksiądz nie słyszał cię nigdy mówiącego, w przeciwnym razie dałby ci nauczkę.... Teraz np. ni z tąd ni z owąd, Józię równać do aniołów? Do kogoż ty już ojca i matkę porównasz, bo ci starsi: chyba do

Pana Boga? Fe! wstydź się! U was to tak powiedzieć, jak zjeść chleb z maslem!

— Uchodzi to — rzekłem. — U poetów naszych najpiękniejsze porównania są w tym guście.

— Tere fere! Co innego ksiądz, a co innego mosiądz! A jak ktoś głupstwo zrobił, więc trzeba i sobie?

Poczciwski rozgadawszy się, mówił mi długo o różnych rzeczach, przeplatając opowiadania napomnieniami. Z kolei objaśnił mię, iż Hornicki był synem bogatego obywatela na Litwie, że pobierał nauki w Wilnie i podróżował za granicą; ale powróciwszy do domu, zakochał się w jednej ubogiej sierocie i pojął ją za żonę, któryto postępek tak obraził dumnego jego ojca, iż mu go przebaczyć nie chciał. Wkrótce zamieszania krajowe pchnęły go na nowe zgryzoty, i dopiero po śmierci rodziców, powróciwszy z głębi Rossyi, wydarł oto z biedą od familii cząstkę spuścizny, za którą kupił wioskę, gdzie mieszka. — Tak mi gwarzył Poczciwski aż zasnąłem. Czy długo jeszcze gawędził potem tego nie wiem; ale powiadał mi nazajutrz, iż nakoniec ciągłe milczenie moje zwróciło jego uwagę, zawoławszy więc mię po imieniu, gdy nie otrzymał odpowiedzi, aż wtedy, rzekł, domyślałem się żeś musiał zasnąć.

Obudziwszy się nazajutrz, gdy przypomniałem wrażenia dnia wczorajszego i nocną rozmowę z Poczciwskim, cały mi ten obraz w innem pokazał się świetle. Byłem spokojniejszy, rozważałem rzecz na zimno, i dziwiłem się, jak mogłem popełnić tyle śmieszności w tak krótkim czasie? Poczciwskiego już nie było: ubrał się i wyszedł; czułem jakby wstyd spojrzeć mu po raz pierwszy w oczy. Czembym się tak mógł upić? myślałem; wdziękami Józi? Czyto podobna? Dziewczę ładno, wesołe, czarujące, ależ zawsze nie jestem już dziecko!... Przypominalem sobie, jak przepędziłem wczorajszy wieczór, moje z nią rozmowy, czytanie ksiażek, jej zdania, jej myśli: znajdowałem, że były pełne uczucia, że miały dużo trafności i powabu; nakoniec starałem się wyobrazić ją samą, i zdała mi się być piękną. Pokazałem mojemu sercu raz i drugi ten sam portrecik, przeciągnąłem przed moim wzrokiem lekko, pomaleńku, umyślnie, żeby się nim zachwycić i wypróbować miarę wczorajszego zapału; lecz wszystkie te próby nie wstrząsnęły mię w tym stopniu jak wczoraj. (D. n.)

PO BURZY.

Po wodzie łódka płynie,
A w łódce rybak młody,
Wzrok puszcza po dolinie,
I woła niepogody:

—O zawiej wietrze wschodu,
Niech się fala wzruszy —
Kto nie walczył za młodu,
Nie ma hartu w duszy!

Po wodzie łódka płynie,
A w łódce rybak młody,
Wzrok puszcza po dolinie,
Powraca z niepogody.

— Hartuś nabrał żeglarzu,
Lecz tu się zmieniło,
Za cerkwią, na cmentarzu,
Dwie mogił przybyło! —

J. C. Z.

PAMIĘTNIKI LEKARZA POLAKA.

przez

Dr. J. TRIPPLINA.

(Ciąg dalszy).

Najokropniejsze przecie było zdarzenie trzecie dla doktora Majkäfera. Pokochał on w Berlinie młodą dziewczynę. Rodzice, u których była jedynaczką nie byli ożenieniu się jego przeciwni. Łagodna i młodziutka Matylda przywiązała się do niego sercem. Wtem razu jednego zasłabła w skutek zaziębienia, dostaje bolu głowy, ociężałości i gorączki. Z żadnej innej ręki prócz z narzeczonego niechce przyjąć lekarstwa. Doktor Majkäfer zapisał jej na womity: W tem po zażyciu pacyentka zaczyna się krztusić, mocować, piersi cisnąć, puls jej ustaje, pot zimny ją oblewa. Ocucona octem i wodą, zwraca oczy na swego narzeczonego i cichym przemawia głosem:

— Ja umieram, biedny Auguście, do widzenia tam!... I kona.

Matka Matyldy nazwała go katem swej córki. Nic mu innego nie pozostało jak oddać się pod sąd lekarski, samemu się oskarżyć. W jego obecności krajano ciało Matyldy.

Okropna to zaiste była dla niego chwila. Pokazało się że zmarła dziewczyna miała przygotowanie do anewryzmu. Silne wstrząśnienie przy zażyciu lekarstwa, przyspieszyło pęknięcie żyły sercowej, na co prędzej czy później biedna Matylda umrzeć by była musiała.

Doktor Maikäfer choć uniewinniony, omal obłąkania nie dostał; długo chorował, później nigdy już nie odzyskał dawnej młodzieńczej energii. Nie śmiałym w leczeniu został na całe życie.

Ciekawe dalej daje nam autor szczegóły o życiu uniwersyteckiem, mianowicie o tak częstych między uczniami uniwersytetów niemieckich pojedynkach. Uniwersytet królewiecki chociaż nie liczył więcej nad 500 uczniów, niczem nie różnił się od innych znakomitych uniwersytetów. Posiadał zatem kilkanaście burszowskich stowarzyszeń, które

nie różniły się, jakby to myśleć można, dążnościami politycznemi lub naukowemi. Broń Boże! różnice powierzchowne były w barwach przybranych, a wewnętrzne i stanowcze rozbiegały się najczęściej o największe drobnostki jak n. p. o picie lub nie picie wódki i piwa, o używanie sera szwajcarskiego, lub coś temu podobnego. I tak była *Borussia* która przybrała barwy czarną i biała; *Baltica* używała barw czarnej i modrej, gdy tymczasem *Pappenhömia* stroiła się w czarną, niebieską i białą, a *Lethania* w czerwoną, zieloną i białą barwę. Jedna *Burszenszaftoria*, ustanowiła prócz innych różnic kółka literackie, które nie długo wszakże trwały. Wszystkie te stowarzyszenia były w ciągłej z sobą wojnie, w tak zwanym kartelu. Rozsądnych po temu nie było powodów, ale zawsze pełno było takich, którzy się zapisywali jako *szermierze pro partia* mający bronić honoru takiej lub owakiej barwy, tego lub innego piwa. Taki szermierz pro partia bić się musiał z przeciwnikiem wybranym przez los, a więc nieraz zdarzyło się że się bił z kolegą z którym prócz różnicy ztowarzyszeń, żył w najlepszej przyjaźni.

Pojedynki te odbywały się często, i nie chcąc upaść na opinii powszechnej, nie można się było bez nich obejść. Tak to już było zwyczajom uświęcone, że wymienia nasz lekarz uczony profesorów filozofii, medycyny, prawa a nawet teologii, którzy to na twarzy, to na szyi, to na innych członkach nosili ślady pobytu swego przy uniwersytecie niemieckim, w znakomitych szramach, pokrywanych później bądź suknią, bądź włosami i wąsami jak najstaranniej. Pojedynki te kończyły się rzadko śmiercią, chociaż i to się trafiało, ale nieraz rany za to, jakie sobie zadawano, były często bardzo ciężkie i niebezpieczne. W czasie pobytu p. Tripplina w Królewcu dwóch akademików umarło w skutek ran odebranych, a trzech poległo na miejscu. Rany były czasem gorsze od śmierci, mianowicie dla młodego człowieka, jeżeli go zeszpeciły na zawsze. Takiego losu doznał niejaki p. Rautau, przystojny bardzo mlodzieniec, ulubieniec płci pięknej. Przeciwnik jego uciął go obosiecznym rapierem, na jaki się zwykle bili, bokiem i z ukosa po twarzy, ale tak okropnie i nieszczęśliwie, że mu całą twarz ze wszystkiemi chrząstkami odłupał po prostu od kości, tak dalece, że cała twarz trzymając się tylko głowy paseczkiem na cal szerokim, upadła mu na ramie. Był to okropny widok, wyglądał bowiem jak żywy człowiek z trupią głową. Łatwo pojąć jak trudno przyszło przymocować i przyszyć mu nazad odrąbaną twarz, a przecież i to udało się sztuce chirurgicznej, lecz na zawsze został kaleką oszpeconym straszliwie, a co gorzej cierpiącym okropnie przy każdej zmianie powietrza.

Pocieszno tragiczne opowiada zdarzenie o p. Rautmann. Był to uczeń wszech wszechnic niemieckich, bursz i renomista z profesyi; relegowany z Halli, Wrocławia, Greifwaldu i t. d. przywałęsał się nareszcie do Królewca i stał się tam wkrótce sławny jako zawadyjaka i lampart pierwszej próby. Był on przestrachem nie tylko dla spokojnych mieszczanów i swoich współuczniów, ale nawet dla profesorów. Wszyscy się go lękali jak dzikiego zwierza. Ogromny wzrostem, imponujący siłą, zawsze pod dobrą datą, chociaż nigdy całkiem pijany, niestworzone płatał figle i breweryje; pojedynków odbył bez liku, a że przy tem był zgrabny w sztuce fechtowania, pomału popłoszył wszystkich kolegów. Naturalnie prym wodził po wszystkich stowarzyszeniach, a młodszych uczniów wodził za nos, korzystając z nich, gwoli wygódkom swojego nigdy nienasycogo żołądka i zawsze suchego gardła. Do robienia długów i zwodzenia dłużników osobliwie miał talent tak znakomity i powszechnie uznany, że go nieraz najmowali koledzy nagabywani przez wierzycieli. Jednych wyrzucał, drugich wyłajał, innych ugłaskał, i nie raz na końcu nową jeszcze wytumanił pożyczkę. I długo to tak trwało, aż przecie w końcu trafiła kosa na kamień, a tym kamieniem, przez dziwne zrządzenie losu był Litwin jeden, człowiek bardzo łagodny, potulny i spokojny. I ten właśnie który nigdy może pałasza nie miał w ręku, ukrócił dumę i życie człowiekowi, który był postrachem wszystkich fuchsów i filistrów, Poszło o jakąś drobną rzecz w traktyerni, podobno o pochodzenie. Niemiec obraził Litwina i jeszcze go wyzwał. Pan N....wicz z początku się strwożył, ale wkrótce wpadł w jakąś ponurą zaciętość prawdziwie litewską i po kilku ledwie lekcyach fechtowania, stanął na przeciw Niemca, który był tym razem mniej trzeźwy niż zawsze, i co wszystkich dziwiło fanfaronadą widocznie udawaną, dodawał sobie ducha. Walka trwała kwadrans przynajmniej bez skutku. Litwin chociaż ranny, kilka razy nie tracił krwi zimnej, gdy tymczasem niemiec tą krwią zimną do wściekłości przyprowadzony coraz gwałtowniej nacierał. Aż nareszcie wszystkie zebrawszy siły uciął go potężnie po głowie. Litwin nie uścigł parować, i jednej chwili upadli oba, bo w chwili zadanego ciosu, niemiec oślepiony zapalczywością sam się wbił na rapir Litwina, rozśmiał się jak szatan i chwytając się pod pierś lewą, mdlejącym wykrzyknął głosem:

— Teufel! Donnerwetter, ginę marnie! ginę jak świeca którą pies zalał...

Jużto wyrażenie jakiego użył, było jeszcze jędrniejsze, i przypominało nieco słowa powiedziane pod Waterloo przez Cambrona.

Rzekłszy to skonał, bo ostrze rapieru przebiło mu serce. Litwina ledwie można było ocucić, długo chorował, lecz przyszedł zupełnie do zdrowia.

Akademiki bojąc się odpowiedzialności, zachowali rzecz całą w tajemnicy, i za pomocą nawet profesorów umieli wszelkie zatrzeć ślady tej awantury. Nikt się bardzo nie troszczył w Królewcu o zniknienie nagle Rautmana którego wsadzono zaraz w kocioł, w jakim preparują się szkie-

lety, i odgotowano z niego ciało, a że był jak mówiliśmy tęgo zbudowany, gdy mu wyblichowano kości, pozostał w zbiorze anatomicznym jako szkielet kapitalny, na którym się uczniowie ćwiczą po dziś dzień a nawet wynajmują do własnego pomieszkania, po talarze na miesiąc.

Najpocieszniejszą w tej całej sprawie było rzeczą, że jeden akademik najwięcej zaprzyjaźniony ze zmarłym, napisał do ojca tegoż, mieszkającego gdzieś na Szlązku. i doniósł, że synalek umarł w skutek natężeń i prac naukowych za co też go cały opłakuje uniwersytet.

Przyczem prosił go aby pewną kwotę przesłał na zapłacenie długów i koszta pogrzebu nieboszczyka.

Czuły ojciec odpowiedział mu na to:

„Unkraut vergeht nicht“ i dodał w tym liście że już raz zapłacił w Greifswaldzie za pogrzeb syna który się uciekł do tego fortelu, aby wytumanić pieniądze: że nawet bracia i siostry chodzili z pół roku po nim w żałobie aż się dowiedzieli że bruder Herrmann żyje i hula w Królewcu. Że zatem nie uwierzy już teraz w śmierć choćby mu przysłano metrykę śmierci

Opisując pan Tripplin te wszystkie szczegóły o uniwersytecie królewieckim, umieszcza pomiędzy innemi też ciekawy o niej i mniej zda się znajomy szczegół, że za jego czasów rektorem honorowym tegoż uniwersytetu był książe, dzisiejszy król pruski, często tamże przyjeżdzał, w postępowaniu z uczniami wiele przedziwnego okazywał taktu. Cudzoziemców uczących się w wszechnicy królewieckiej kazał sobie zawsze prezentować, i przemawiał do nich z uczuciem i szlachetnością. Pomiędzy innemi następujące jego słowa przytacza pan Tripplin:

— Panowie z serca pragnę, aby wam pobyt w naszym kraju miłe pozostawił ślady w pamięci, abyście pokochali ludzi, którzy wam udzielają nauki. Uczcie się więc pilnie moi panowie, abyście nas mieli za co pokochać. Człowiek naukowy ukochać winien tak dobnze kolebkę swego rozumu, jak człowiek serdeczny kocha kolebkę swego życia. Jedno i drugie uczucie jest szlachetnem, i dla jednego wypierać się nie potrzebujemy drugiego; pragnę przynajmniej, aby ta sprzeczność nigdy w jednej nie zachodziła duszy.

— Nie jesteśmy niewdzięcznikami Magnificentissime Princeps ac rector! odpowiedział na to Alfred B...ski, który był wówczas uczniem medycyny, a dziś już nie żyje. Czule kochamy Albertynę, i wielbimy jej rektora sapientissimum.

I wszyscy Polacy i inni cudzoziemcy krzyknęli za nim:

— Wiwat Albertina atque rector!

Dodać tu należy, że wszechnica królewiecka zwie się Albertyną dla tego, że ją w r. 1548 założył i hojnie wyposażył Albert, książe Pruski, margrabia Brandeburski, lennik podówczas Polski.

Zajmujący także jest obrazek, jaki nam daje p. Tripplin o lekarzu i profesorze Dietz, którego sława i jako lekarza, i jako uczonego, była europejska.

Karol Dietz urodził się w Królewcu i był synem prostej przekupki, która na straganie blisko Pregla sprzedawała od świtu aż do późnej nocy majtkom różnych narodów i wyrobnikom jedzenia ciepłe i zimne, wódkę, bułki i t. d. Był jedynakiem, ojca nie znał nigdy i chował się od dziecka w owym straganie i w izdebce przyległej, gdzie matka jego warzyła swoje przysmaki.

Dziecko nie bardzo rosło i było blade, ale za to na czole i w oczach malowała się bystrość umysłu niepospolita. Był on nadzwyczaj skrzętny i zwinny, matce pomagał w gospodarstwie i pomału nauczył się rozmawiać, targować i kłócić ze wszystkiemi majtkami, Duńczykami, Holendrami, Anglikami, wiciniarzami Litewskiemi i to z każdym w ich własnym języku. A język miał tak biegły jak u prawdziwej przekupki. Dobrze z tem powodziło się matce, bo się wszyscy cisnęli do jej straganu, aby się wykłócić po narodowemu z małym diabłem. Gdy się to rozniosło po mieście, że taki talent lingwistyczny istnieje w mieście, najuczeńszy filolog Królewca professor von Bohlen, poszedł sam do stragana, aby niby kupić porcyę ogórków kwaszonych, i przy tej sposobności wdać się w rozmowę z małym ulicznikiem.

Dobrze wyszedł uczony mąż: mały Karolek przegadał go we wszystkich językach i narzeczach germańskich, skandynawskich, i anglosaskich, a przytem tak mu roztropnie odpowiadał, tak dowcipnie docinał, że professor w ciągu tygodnia kilka razy biegał do stragana. A przekonawszy się o zdolnościach młodego chłopca, oświadczył matce, że się chce zająć wychowaniem jej syna.

Z żalem zapewne, ale dobro dziecka swego mając na celu, oddała matka syna. Karolek uczył się doskonale ale nieraz zabiegał do matczynego straganu, by uściskać matkę i pogwarzyć z majtkami. W szesnastym roku Karol Dietz znany już w mieście i w prowincyi jako Wunderkind, złożył nadzwyczaj świetnie egzamen dojrzałości, uzyskał dobre stypendium, i zapisał się na wydział lekarski i filologiczny. Nauki szły mu z porywającą szybkością; niemniej przeto lubił się bawić, a nawet między burszami nie był ostatni, czy to szło o ucztę, wycieczkę jaką lub pojedyńnek. Pił nawet wcale nie źle, z pojedynków wychodził zwykle szczęśliwie, raz tylko oberwał mały apostrof na czole. Przy tem wszystkiem wszakże zachował moralność i obyczaje nieskazitelne, a w dwudziestym roku był już Dietz doktorem filozofii, medycyny, chirurgii i sztuki położniczej. Języków umiał dwanaście, a między niemi i polski. W kilka miesięcy później złożył egzamen etatowy w Berlinie, został doktorem wolno praktykującym, za rok zaś profesorem nadzwyczajnym; uzyskał także hojne wsparcie rządowe, i wysłanym został na lat cztery za granicę.

Gdzie tylko czas jaki bawił za granicą, wszędzie pozostawił ślady pobytu swego, bo wszędzie podziwiano jego głęboką naukę, tęgi charakter, nieskazitelne obyczaje i wesoły humor. Wszędzie zapoznał się z najznakomitszemi osobistościami, pokochany od wszystkich. Wszędzie, po wszystkich dziennikach naukowych francuskich i niemieckich pozostawiał artykuły, pełne nauki i wiadomości, jakoż został przez ten czas członkiem rozlicznych towarzystw naukowych. W Eskuryjalu siedział Dietz pięć miesiecy, by przejrzeć zachowane tam arabskie księgi lekarskie, które kardynał Ximenes w Grenadzie od stosu wyratował. W Marokko, w Algierze, w Tunis, Trypolis, w Turcyi, Egypcie, Syryi i Palestynie bawił rok przeszło, i doskonale po arabsku i turecku wyuczył się, a prócz tego znał język samskrycki, chaldejski, i inne narzecza wschodnie.

Po czteroletniej podróży wrócił do Berlina, okryty sławą, zaszczycony wielą orderami, i w całym świecie uczonym znany doskonale. Zabawiwszy rok jeszcze w Berlinie jako professor nadzwyczajny, i wydawszy dzieło sławne o stanie nauki literackiej w wszechnicy arabskiej w Kordubie, zatęsknił za miastem rodzinnem i za matką która zawsze przy swoim siedziała straganie, i mimo znacznych datków pieniężnych, któremi ją syn obdarzał, odstąpić go nie chciała. Gdy więc otwartą została w Królewcu posada dyrektora kliniki, postarał się o nią Dietz, i uzyskawszy ją, mąż ledwie dwadzieścia siedem lat mający, zajechał prosto przed stragan matki i przemówił do niej owem narzeczem ludu *Plattdeutsch* zwanem. Szczęśliwa matka takiego syna!

Wielu miał nieprzyjacioł, zawistnych wrogów w Królewcu, ale wszyscy zamilkli po pierwszej jego prelekcyi pełnej uczoności, a co więcej życia. Wnet stał się ulubieńcem uczniów wszystkich, i zdobył sobie ogromną praktykę, mianowicie między Litwinami, którzy pierwsi prawie poznali się na nim. Lecz niestety nie długo nim się cieszyć miało miasto rodzinne; zgasł on za prędko dla dobra ludzkości.

Poznawszy się z młodą ubogą panienką, Zofią Richard, rozkochał się uczony profesor po raz pierwszy w życiu i kochany nawzajem ożenił się. Wybór jego jakkolwiek przypadkowy, był nadzwyczaj szczęśliwy, bo mu żona w braku innego wiana, przyniosła wdzięki i wszystkie najpiękniejsze cnoty niewieście. Matka, stara przekupka, przyniosła mu w dzień ślubu dwanaście tysięcy talarów gotówką, które on żonie podarował. Gorączka tyfoidalna, panująca wówczas w Królewcu porwała go nagle; darmo walczył z nią sam, walczyli i najpierwsi lekarze miasta; po dniach kilkunastu srogich cierpień, skonał w sile wieku. Żałoba była ogólna w mieście, całe miasto było na pogrzebie; żona w żalu nieutulona, zapisała się do bractwa wdów nieutulonych, i pozostała w tym zakładzie, wiodąc życie zakonne i pielęgnując syna, który się urodził w miesiąc po śmierci ojca. (C. d. n.)

OSTATNI USTĘP Z PAMIĘTNIKOW UŁANA.

(Dokończenie.)

Rolland uszedłszy jeszcze mil 4, ścisnięty zewsząd wszedł także ale dalej od nas w Prusy, Skulski pod przebraniem służącego oficerskiego wyjechał do Francyi.

Nazajutrz pożnym już wieczorem zatrzymaliśmy się pośród obszernej, piaszczystej równiny, którą skąpo tylko rzeczki Minii mętne zwilżały wody. Było to miejsce od gościnnych Prusaków przeznaczone nam na odbycie kwarantanny. Dni jeszcze kilkanaście upłynęło wśród największego niedostatku, za nim władze pruskie naradziły się i udecydowały dostawę porządną żywności, furażów dla koni, i wszelkich potrzeb w obozie niezbędnych: ale środków ostrożności nie zaniedbali ani na chwilę. Dowieziono wprawdzie materyału na baraki, ale oficerskie oddalono od obozu żołnierzy i podoficerów, w tym zapewne celu, aby z wspólnem porozumieniem nie tentować ryczałtowo ucieczki, chociaż otoczono nas potrójnym łańcuchem straży i nadto jeszcze sznurem do koła opasano obóz, z najsurowszym nakazem strzelania do każdego, coby się za obręb łańcucha przekradać poważył. Konie żołnierzom i podoficerom odebrano, i Rossyi wraz z bronią, zapewne w myśl ścisłej neutralności odesłano; tylko oficerskie, jako własność każdego zostawiono. Żołnierzom i podoficerom fasowano żywność i wódkę po ½ kwaterki na dwa dni. Oficerom przeznaczono po 30 blisko talarów na miesiąc ale te wypłacać zaczęli później. Tymczasem, kto z nas nie miał pieniędzy, sprzedawał za bezcen konie zjeżdżającym się do obozu w tym celu Prusakom z Klajpedy i okolic, co wiedzieli że utrzymać koni niejesteśmy w stanie. Ja sam sprzedałem konia za 5 dukatów, co wartał ze 70 najmniej, a doskonałego jucznego za 4 ruble. Powoli, powoli, gdy już nasza wiara popostawiała sobie baraki, na przeciw nas zaś, Niemcy porozbijali długim rzędem namioty z garkuchniami, szynkowniami, ferlagem i rozmaitemi kramami, i ów pusty, obszerny plac przedziergnął się w jakieś niby na prędce zaimprowizowane miasteczko, wrzące od rana do nocy życiem, i z ciągłym ruchem. Ale mimo to gdy dnie całe trawiliśmy w zupełnej bezczynności, więc w krótce opanowała nas taka nie do opisania nuda i tęsknota, że wielu z naszych mimo argusowej czujności Prusaków, pomimo trudności i niebezpieczeństw, na jakie się narażali, wymykało się nocami, i na ślepy traf puszczali się w świat. Wielu bardzo z tych, co tym sposobem tentowali fortuny, najczęściej drugiego dnia przyprowadzali Niemcy na powrót, wielu postrzelano, wielu zapewne i kozaki zaraz za granicą się kręcący pozabierali. Ale byli i

tyle szczęśliwi, a między innymi z naszego pułku mój kolega i do dziś dobry znajomy, Jan Pfeifer, co uszli szczęśliwie i dostał się do kraju jeszcze przed wzięciem Warszawy. Tak rozpaczliwe przedsięwzięcia jakich chwytali się nasi, nie zadziwią zapewne nikogo, kto tylko pojmie tego rodzaju życie, jakie my tam wiedli. Pomijam już nieczynność co nas zabijała moralnie; ale prócz tej, wszystkie rodzaje niewygód fizycznych dały nam się we znaki. I tak, gdy była pogoda, to pół biedy jeszcze, ale jak się zasłociło, a my w dołach barakowych w wodzie jak żaby pluskać się musieliśmy, lub też gdy się zerwały wichry od morza, które tam i po tygodniu trwać zwykły, a tumany drobnego, pyłowatego piasku zewsząd się cisnąc, zasypywały nas niemal, to wtedy już jakaś wściekłość szalona przystępowała do każdego, potem rozpacz zawładnęła umysłami i grobowa, ponura cisza zalegała obóz cały, że zdało się każdemu, że nas już tak opuszczonych od świata całego, i Bóg wreszcie zapomniał! Dodać tu należy i to, że gdy zamiast 2ch tygodni, co mieliśmy kwarantanować, już 6 mijało, a nadziei nie było nawet aby ta pokuta ukończyć się raz miała, do tego wreszcie przyszło, że wojsko rozdrażnione poczęło szemrać, wyrzekać, a wreszcie razu jednego formalnie się skonfederowało, a korzystając z czasu kiedy jenerał Chłapowski, co także tam obozował, ale w osobnym i obszernym baraku, wyjechał na kąpiele morskie do Klajpedy, zebrało się tłumnie przed barakiem nielubionego powszechnie dowódzcy naszego pułku, Borkowskiego, i poczęli go łżyć, a nawet odgrażać się tak, że aż wojsko pruskie zaledwo porządek zdołało przywrócić. W prawdzie odtąd większej nam wolności dozwalali a nawet na spacery w okolice, chociaż pod strażą puszczali. Odwiedzać nas także zaczęli i oficerowie pruscy, bratali się niby z nami. Za pomyślność sprawy naszej wspólnie i pili i ich wojskowa muzyka grała nam nasze narodowe piosenki, ale to nas najmniej nie cieszyło, nie wierzyliśmy tym przyjacielskim niby manifestacyom. Wyglądaliśmy więc po staremu jakiego bądź już postanowienia o naszym losie. Aż nareszcie po upływie 2ch miesięcznej pokuty, przyszedł z Berlina rozkaz przeprawienia nas na drugą stronę odnogi morskiej (*frischeshaf*) w okolice Królewca, gdzie cały nasz korpus po wsiach i miasteczkach rozlokować miano aż do dalszych znowu rozporządzeń. Od oficerów zażądano *słowo honoru*, że za granicę bez wiedzy rządu nie wydalą się, a za to pozwalali każdemu zamieszkać w kraju tam, gdzie by sobie kto obrał. Ale gdy jednogłośnie podobnego zobowiązania nikt dać nie chciał, więc wszystkich prawie odwieziono do fortecy a razem portowego miasta Pilawy, i tam ich ściśle i dość długo trzymano. Co do mnie, że jeszcze z obozu kwarantany, uprzedzając mogące nastąpić wypadki, zażądałem paszportu do Krakowa, abym ztamtąd jako poddany austryacki powrócił do miejsca urodzenia, do Galicyi, jako deklarujący się jawnie niby czego żądam, wreszcie jako poddany neutralnego także państwa, całkiem też excepcyonalnego postępowania doznałem, bo mnie jednego prawie z oficerów odłączono z wojskiem razem, i w przeznaczonej dla mnie stacyi kazano odpowiedzi z Berlina oczekiwać. Tym sposobem, przez ciąg mego 3ch kwartalnego oczekiwania i pobytu w Prusach dzieliłem jeszcze wszelakie przygody wraz z naszą wiarą, aż do ostatniej rozprószki prawie.

Rozmaitość.

* Dla nieprzewidzianych przeszkód niemogło wykonać Galicyjskie Towarzystwo muzyczne wzmiankowaną przez nas symfonią »Napoleon« utworu Karola Haslingera; natomiast dano dnia 25. b. m. na dochód rzeczonego towarzystwa muzycznego i funduszu pensyi dla członków tutejszej orkiestry teatralnej w c. k. uprzywilejowanym hr. Skarbka teatrze za współdziałaniem wielu artystów i miłośników sztuki muzykalno-deklamacyjną akademią,(musikalisch-deklamatorische Akademie) w dwóch oddziałach. Oddział pierwszy zaczęto uwerturą koncertową kompozycyi Juliusza Rietz; po tej odśpiewały P. P. Maria Holland i Wilhelmina Hammermeister, śpiewaczki przy tutejszej operze niemieckiej duet utworu Karola Haslingera na Sopran i Alt. Kompozycya wcale ładna, efektowa i wdzięczna, prowadzona w stylu muzyki niemieckiej, modulacyą śpiewu jednak zbliżona do szkoły włoskiej — jest to tło tegoczesnych kompozytorów, którzy uznając głównem zadaniem muzyki śpiewność i uczucie, starają się przydać jej więcej siły, więcej dramatyczności obszerniejszem instrumentowaniem i akompaniamentem nie czysto wtórzącym lecz osobną tworzącym harmonią. Następnie odegrał p. Jan Sperber, członek tutejszej orkiestry teatralnej, solo na Trombie kompozycyi Adolfa Müllera, a p. Karol Heinrich, były profesor w Mozarteum w Salzburgu sztukę na fagocie własnej kompozycyi «Melancolie & Valse diabolique.» Oba grają po mistrzowsku, czystość intonacyi, szybkość w różnorodnych przegonach na tak trudnych, rzecby można niesfornych instrumentach istotnie zadziwiająca, lecz zawsze to rzeczą więcej popisową wzbudzi podziw, zrodzi wrażenie, lecz nie porwie słuchaczy, nie uniesie ich w krainę marzeń i zachwytu. Po środku tych sztuk odśpiewała p. Maria Holland Polkę z waryacyami, kompozycyi Alarego, utwor miły, lekki, ubarwiony mnóstwem fiorytur i sztuczności, a jednak wiele niewymagający głosu; P. Holland oddała go z precyzyą i należytym wdziękiem obsypana nieustającemi oklaskami powtórzyła sztukę. — Po małej przerwie nastąpił oddział drugi prawdziwie deklamacyjno-muzykalny; po odegraniu bowiem sztuki Webera «wezwanie do tańca« ułożonej na orkiestrę przez Hektora Berlioz, wygłosiła p. Probst, artystka sceny niemieckiej poemat M. G. Safira pod nazwą: «Serce kobiece i kolej żelazna.« Przywołana oklaskami w miejscu powtórzenia powiedziała ustęp o sercach męzkich. Humorystyczny autor kończąc poemat dowcipnem porównaniem serc kobiecych z koleją żelazną, przewidywał grady oklasków spaść nań tu mogacych, przygotował więc część drugą, w której rzucone porównanie zwraca do serc męskich; po pierwszym ustępie schodzi zatem z sceny, następują oklaski, on wraca i mówi: co słyszę, oklaski! podobało się wam więc powiem dalej, lecz o sercach męskich. Obydwa te ustępy, z oklaskami pośrodku, tworzą całość poematu. Myśl originalna przeprowadzenie efektowe. Pna. Probst pojęła autora i odpowiedziała zadaniu, dla czego jednak po powtórnych aplauzach wygłosiła jeszcze wiersz dialektem niższo-austryackim «Nur disputiren,» nieumiemy sobie wytłomaczyć, gdyż pominąwszy że mnogie dodatki przez się osłabiają już pierwsze wrażenie, treść wierszu tego nieodpowiadająca wcale treści

poematu, psuła estetyczną całość dykcyi. Następnie odegrał pan Konopasek pianista «kaprys na fortepian» własnego utworu (la plainte). Gra jego czysta, biegła, pewna i wyrazista, niezostawia nic do życzenia jak więcej spiewności, więcej uczucia, tego ducha muzyki, który owłada słuchaczy, czaruje ich myśli, pieści i porywa serca a muzyka namaszcza na mistrza! Skoro pan Konopasek przyswoi sobie te zalety, możemy mu piękną wróżyć przyszłość. Po nim dał się nam słyszeć P. Edward Pleiner, były professor Mozarteum w Salzburgu; wykonał wielką fantazyę na skrzypcach, kompozycyi Leonarda na temat hymnu ludu. P. Pleiner, należy niezaprzeczenie do rzędu znakomitych skrzypków, okazał nam w tej sztuce nadzwyczajną biegłość i pewność w harpegjach, a pokonując z wielką łatwością nagromadzone trudności, prowadził po nad nie wybitnie śpiew hymnu. Co do kompozycyi samej, to zdaniem naszem tak poważny temat żądałby więcej klassycznego obrobienia; dla tego utwor ten nazwalibyśmy raczej waryacyami na temat hymnu ludowego aniżeli Fantazyą. Zakończyła koncert uwertura na orkiestrę do opery: „wesołe niewiasty Windsoru.“ kompozycyi Ottona Nicolai, wykonana z ogniem i właściwą jej pięknotą. Koncertem dyrygował pan Schürrer, znany nam zaszczytnie z swojego talentu w tym zawodzie. Żałujemy bardzo że nagła słabość pani Rywackiej, pierwszej śpiewaczki opery Warszawskiej, pozbawiła nas przyjemności słyszenia jej tego wieczora. Znakomita artystka ta miała odśpiewać romanse Kajetana Donizettego: «il Sospiro» i pieśń Marc. Madeyskiego «Posyłka.« Mieliśmy sposobność poprzód już ocenić jej talent, wiemy ile powabu rozwija w swym śpiewie, toż z upragnieniem oczekiwaliśmy zapowiedzianej afiszem kolei, lecz ta niestety tym razem nieprzyszła.

* W niedzielę dnia 1. kwietnia wielki koncert pod przewodnictwem pana J. C. Kesslera w sali redutowej, na korzyść funduszu tutejszej gminy ewangelickiej.

* Cesarzewicz Jegomość Arcyksiążę Karol Ludwik przybywa dziś do Krakowa a w Sobotę ma stanąć we Lwowie.

Przyjechali od dnia 26. do 28. Marca do Lwowa.

PP. Czajkowski Michał, z Komarna. Brzozowski Jan, z Rożniowa. Bobowski Leon, z Cykowa. Antoniewicz Wincent., z Skwarzawy. Jabłonowski Józef, z Dołhego. Skrzyński Michał, z Budzanowa, Starzyński Józef Hr. z Mogielnicy. Starzyński Leopold, Hr. z Tarnopola. Maramorosz Juljan, z Stanisławowa. Dobrzański Stanisław z Daszawy. Bal Franc. z Tuligłów. Bobrowski Klemens z Korsowa, Grocholski Jul. z Brodów.

Wyjechali od dnia 26. do 28. Marca ze Lwowa:

PP. Trzciński Emil, do Grzymałowa. Dobek Konstanty, do Sarnek. Kruszewski Henryk, do Chorobrowa. Łodziński Henr, do Milatyna, Urbański Rudolf, do Dobrosina. Udrycki do Choronowa.

Lwów, 28. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 39 złr. — kr. — Żyta po — złr. — kr. do 27 złr. — kr. Jęczmienia po 22 złr. — kr. do 22 zł. 30 kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 15 złr. 15 kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po 12 złr. 30 do 14 złr.— kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 45 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 35 złr. w. w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 2 złr. 55 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$124\frac{7}{8}$	Pożyczka 5% $82\frac{1}{16}$ 4½	$70\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$91\frac{3}{4}$	Akcye banku	1006
Londyn za 1 funt szterl.,	12 12	Kolej północna	1950
Medyolan za 300 lirów	124	Obl. ind.	$74\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	$145\frac{7}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$105\frac{3}{16}$
Agio duk. ces.	$29\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$87\frac{9}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr.	5	kr.	49
Dukat cesarski	«	5	»	50	»	5	«	53
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	1	»	10	«	5
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	56	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	94	«	15	»	94	«	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		73	»	20	»	73	»	45
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	30	»	87	«	30

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**